

# ZIEMIA

Warszawa—Lwów.



S. Matusiak.

## Koń w naszych wierzeniach ludowych. 4)

W Lubelskiem znowu inaczej. Tutaj w trzeci dzień świąt Bożego Narodzenia obchodzi wieś dwu parobków z rana, prowadząc ze sobą wołu czarnego i śpiewając kolędy <sup>1)</sup>.

Na Pokuciu w sam Nowy Rok po nabożeństwie ubiera czeladź konia lub wołu albo barana rozmaitemi wstążkami, kłosami, kałwą lub barwinkiem i wprowadza do chałupy, aby pozdrowić gospodarza z Nowym Rokiem nowem szczęściem <sup>2)</sup>. Ale i u Huculów nie wszędzie występuje przy tej sposobności jakieś zwierzę. Bardzo często biegają w Nowy Rok tylko kolędnicy po chałupach z mieszaniną wszelkiego zboża i obsypują nią gazdów, składając równocześnie życzenia wszelkiej pomyślności we wszystkim <sup>3)</sup>.

Całkiem podobnie ma się rzecz u Rusinów we wschodniej Galicyi. W Dziewiętnikach np. w dzień Nowego Roku zaraz z rana wyprowadza ktoś z domowników krowę lub wołu ze stajni i wprowadza do chaty, gdzie daje bydłociu siana, a sam składa gospodarzowi życzenia, żeby mu się dobrze powodziło w gospodarstwie, za co gospodarz daje kilka groszy gratulantowi. Gdy bydłę zje podane sobie siano, odprowadza się je do stajni <sup>4)</sup>. W tych samych stronach dzieje się to samo prawie z krową,

ale w dzień Ofiarowania N. P. M. (21 listopada st. stylu <sup>1)</sup>).

W Chełmszczyźnie chłopcy wiejscy, zawiesiwszy w Nowy Rok na ramionach torby z mieszaniną wszelkiego zboża, śpieszą do dworu, na probostwo i do chałup wiejskich, a rzucając ziarno przez otworzone drzwi, składają życzenia, żeby w roku przyszłym rodziło się wszystko jak najlepiej <sup>2)</sup>.

U górali naszych zaraz po powrocie ze mszy pasterskiej, mężczyźni, wzięwszy owsa do rękawic, idą „w podłazy“, t. j. odwiedzają krewnych i sąsiadów, sypiąc owsem po izbie, po podłodze, po sprzętach, a nawet domowników niem obsypując, gdzieniegdzie nasamprzód gazdę, mówiąc przytem: „na szczęście, na zdrowie, na to Boże Narodzenie, żeby wam się darzyło, mnożyło wszystko dobrze w komorze, w oborze i w roli. Daj Boże, żebyście tyle mieli wołków, ile w dachu kołków <sup>3)</sup>, tyle koników, ile w płocie kulików (kolików t. j. kołów), tyle owiec, ile w lesie mrowiec (mrówek); żebyście tacy byli weseli, jako w niebie anieli <sup>4)</sup>“. Gdzie-

<sup>1)</sup> Lud, VIII, 378.

<sup>2)</sup> O. Kolberg, Chełmskie, I, 119.

<sup>3)</sup> Głębiej w Beskidach zachodnich i na Podhalu zamiast gontów do pokrycia dachów używają tarcic, które nie gwoździami, lecz kołkami przybijają do lat i krokwi. Dawniej, gdy drzewo było tańsze aniżeli dzisiaj, ten sposób pokrywania zabudowań był powszechniejszy niż obecnie.

<sup>4)</sup> Dr. E. Janota. Lud i jego zwyczaje, 41.

<sup>1)</sup> O. Kolberg. Lubelskie, I, 105.

<sup>2)</sup> O. Kolberg. Pokucie, I, 131.

<sup>3)</sup> O. Kolberg. Pokucie, I, 130—131.

<sup>4)</sup> Lud, VIII, 373.

niegdzie taki jeszcze słyzy się dodatek: „sноп przy sнопie, kopa przy kopie; gazda między kopami jako miesiąc między gwiazdami“. Po tem przywitaniu proszą lub proszono (bo w wielu miejscach księża zabronili chodzenia w podłazy w Boże Narodzenie) podłazników za stół, gdzie była lub jest przygotowana przekąska, zazwyczaj chleb z masłem, specyał w górach, lub kielbasa i wódka, miodem słodzona. Znaczniejszych gospodarzy lub celniejszych młodzików prosi się w podłazy kilka dni naprzód; inni biegają nieproszeni, gdzie tylko sądzą, iż coś znajdą na zęby i do przepłókania gardła. Niektórzy zamiast owsa używają grochu lub jęczmienia, którego jednak gdzieindziej nie biorą, mniemając, że sypanie lub obrzucanie nim sprowadza wrzody — lub też do owsa mieszają bób, aby obrzuceni lepiej mogli poczuć uderzenia. Część owsa wysypuje podłaznik na stół, a owies ten nazajutrz (w św. Szczepana) święcą w kościele. Nad ranem każdy jest już u siebie<sup>1)</sup>.

Bardzo osobliwy zwyczaj utrzymywał się, a może i jeszcze się utrzymuje w Lubelskiem. Oto w dzień święta Trzech Króli studzy dworscy pokojowi dla dostania poczęstnego na piwo od pana zastawiali stołem drzwi wchodowe z pokojów do sieni, na który to stół nakładli chleba, co się zmieści. Uczyniwszy to, wywołują pana za jakim interesem do sieni, a gdy tenże do drzwi zastawionych przyjdzie, kłaniając się, winszują mu święta i życzą, ażeby się go chleb trzymał, tak jak na tym stole i nie odstawiają stołu ode drzwi, dopóki się nie wykupi. Ten zwyczaj rozpowszechniony był na Mazurach, a bardziej jeszcze koło Janowa Ordynackiego pod Frampolem, Gorajem i t. d.<sup>2)</sup>.

Co to wszystko ma znaczyć?

Już same symbole, wchodzące tutaj w grę, jak koń, wół i inne zwierzęta, tudzież zboże, którem się obsypuje dom i gospodarza, świadczą bardzo wymownie, że to wszystko jest przeżytkiem sędziwej przeszłości, a dla obznajmionych nieco dokładniej z wierzeniami, zwyczajami i obyczajami naszego ludu, rzecz całkiem widoczna, że to zwyczaje **n o w o r o c z n e**, oparte na bardzo dawnych, jeszcze pogańskich, **n o w o r o c z n y c h** wyobrażeniach religijnych. Dzisiaj nie wszystkie te zwyczaje odbywają się w sam Nowy Rok, niektóre bowiem wiążą się ze świętami Bożego Narodzenia lub innymi uroczystościami, ależ to rzecz całkiem naturalna, że zwyczaje, które wiązały się w pogańskich czasach z „nowem latem“ czyli „nowym rokiem“ pogańskim, w czasach chrześcijańskich

poczęły się łączyć z chrześcijańskim Nowym Rokiem, który rozpoczynał się pierwotnie razem ze świętami Bożego Narodzenia; cóż więc dziwnego, że jedne z tych zwyczajów łączą się dzisiaj ze świętami Bożego Narodzenia, a inne z dzisiejszym Nowym Rokiem. Przypadają te zwyczaje i na inne uroczystości chrześcijańskie, gdyż wiadomo powszechnie, że czasy takich zwyczajów oznaczał kościół, kierując się w tej mierze najrozmaitszymi względami: takimi np., jak ten, żeby w pewne wielkie święta nie dopuszczać zwyczajów, nielicujących z ich powagą, lub takimi, jak ten, że ten lub ów zwyczaj religijnie łączy się lepiej z tem, a nie tamtem świętem. Jeżeli więc zwyczaje te połączone gdzieindziej na Rusi ze świętem Ofiarowania N. P. Maryi, to rzecz widoczna, że chciano przez to dać do zrozumienia, iż z bydląt symbolicznych czyni się niejako ofiarę Matce Bożej i pod Jej wszystko oddaje się opiekę. Sam charakter zresztą tych zwyczajów, tudzież wierzenia religijne, na których to wszystko oparło się przed wiekami, a których reminiscencye przechowały się do tej pory wśród naszego ludu, wskazują najwyraźniej, że mamy tu do czynienia z prastarymi zwyczajami noworocznymi. Oto niektóre z tych wierzeń.

Mazury wierzą, że to, co się robi w Nowy Rok, to będzie się robiło przez cały rok; że jak się komu wiedzie w Nowy Rok, tak mu się będzie wiodło przez cały rok. Jeśli w ten dzień odbierasz lub wydajesz pieniądze, będziesz odbierał lub wydawał pieniądze przez cały rok i t. d.<sup>1)</sup> Ponieważ święta Bożego Narodzenia, rozpoczynające się od Wigilii, to pierwotnie początek roku chrześcijańskiego, więc rzecz prosta, że święta te mają to samo znaczenie w tych wierzeniach, co Nowy Rok. „Jakiś w Wigilię — powiadają w Sidzinie (w Galicyi) — takiś cały rok“. Lecz nie tylko w Sidzinie, nie tylko u samego ludu, ale i w wyższych warstwach tkwi potąd przekonanie, wyrzeczone w tem przysłowiu<sup>2)</sup>. „Wystrzegają się więc wszystkiego, co jest naganne, kłótni, swarów, bitki, zbytecznego smutku, płaczu i t. d., bo jakiego usposobienia kto jest w Wigilię, takiego będzie przez cały rok (Strzeszyn, Zagórzany, Klęczany, Libusza, Iwonicz i prawie wszędzie)“. „Być ponurym i smutnym w dzień ten nie godzi się ależ i śmiać się za wiele nie wolno, ani śpiewać, bo w tym wypadku właśnie przeciwnym porządkiem przez cały rok smutnymby się było; nie skaczą też, boby im takim samym trybem przez cały rok nogi obierały; nikt nie chce,

<sup>1)</sup> Dr. E. Janota l. c. 41—42.

<sup>2)</sup> O. Kolberg. Lubelskie, I, 112.

<sup>1)</sup> O. Kolberg. Mazowsze, I, 94.

<sup>2)</sup> Dr. Janota l. c. 9.

nawet być chorym tego dnia, boby chorował przez cały rok. Kto atoli w Wigilię kichnie, zdrów będzie przez cały rok. Ktoby tego dnia pogniewał kogo na siebie, ściągnąłby sobie gniew na cały rok. Więc nawet dzieci posłuszne są i potulne tego dnia, aby nie oberwać jakiej kary, boby się tak działo przez cały rok, a Wilia rada dzieci biją (Wilamowice, Lanckorona, Harbutowice) lub też: we Wigilię dzieci biją, pod piec wsadzą, jeść nie dadzą (Sidzina). Gdzieindziej właśnie dlatego nie karzą dzieci w Wigilię, chociażby zasłużyły, bo kara, otrzymana w Wigilię, powtarzały się przez cały rok (Bieńkowa). Kogoby tego dnia spotkało nieszczęście, tego przez cały rok prześladować będzie, a komuby się powodziło w Wigilię, temu przez cały rok szczęście sprzyjać będzie (Bieńkowa, Rabka, Łużna). Dlatego nie tylko złodzieje z zawodu starają się w ten dzień coś tak ukrasć, aby nie zostali spostrzeżeni lub schwyceni, w tym bowiem wypadku nie wróżą sobie korzystnego roku, lecz wogóle na szczęście lubi jeden drugiemu porwać jaką drobnostkę. Gdzieindziej nie tylko parobcy nachodzą gospodarzy i starają się im coś zręcznie wziąć i ukryć, jeżeli można, przed okiem właściciela, tak żeby własności swojej, lubo ją ma pod samem okiem, nie mógł znaleźć, lecz w nocy, okradając się nawzajem, konie nawet ze stajni uprowadzają (Łużna...) Nazajutrz, to jest w dzień Bożego Narodzenia, rzeczy skradzione w Wigilię dla zapewnienia sobie szczęścia odnoszą właścicielom, żądając okupu za ich zwrot, wódki lub piwa, sami nieraz dokładając się do tego pieniędzmi<sup>1)</sup>. A wiadomo powszechnie, że i myśliwi przykładają do tego wielką wagę, żeby w Wigilię zapolować i to zapolować szczęśliwie. „W Wigilię lubi także lud jak najwcześniej wstawać, żeby przez cały rok wczas wstawać i nie być ospałym (Wilamowice, Bieńkowa, Sidzina, Czchów, Strzeszyn, Zagórzany, Klęczany, Libusza). Lubią też w dzień ten gospodarze młócić, wiać, do lasu jechać i podobnemi zajmować się czyn-

nościami, sądząc, że kto tego dnia pilnie pracuje, pilnym też będzie przez cały rok w wykonywaniu swoich powinności. Miejscami schodzą się prządki już o godzinie drugiej lub trzeciej rano i przędą na wyścigi, aby przez rok wiele uprząść i wiele zarobić na przędziwie...<sup>2)</sup>).

„Dla tego czarodziejskiego wpływu Wigilii na cały rok nic w ten dzień lud nie łąta, ażeby się nie darło nowe; ubodzy nawet nie chodzą w ten dzień po prośbie“, bojąc się zapewne przypadkowej odmowy, któraby sprawiła, że przez cały rok nie dostawaliby jałmużny...<sup>2)</sup>

„Niektórzy, aby byli zdrowi przez cały rok, kąpią się nawet w ducoli (przerębli)...“ „Miejscami myją się w Wigilię rano zimną wodą, włożywszy do niej kilka monet, zazwyczaj srebrnych, czasem nawet złotych, a gdzie niema ani jednych, ani drugich, to miedziaka. Myjąc się tą wodą, dotykają się ręką monety, ażeby byli czerstwi, jak kruszec, z którego zrobiona moneta...“ „Czynią to też, aby przez cały rok mieli pieniądze...“ „Miejscami prowadzą rano także bydło do wody, aby przez cały rok było zdrowe, piękne i czerstwe“<sup>3)</sup>.

„Gdzieniegdzie w Wigilię, a indziej w Nowy Rok zrana nikogo w kozuchu nie wpuszczają do domu, mniemając, że wejście takiego człowieka przyniosłoby dzieciom wrzody i inne choroby. Indziej utrzymują, że ktoby w dzień Bożego Narodzenia pierwszy spotkał człowieka w kozuchu, dostanie wrzodów. Miejscami uważają, ażeby w Nowy Rok nie wszedł do domu człowiek w kozuchu lub z garnkiem, boby w tym domu przez cały rok panowały bolaki...“ „Co do Nowego Roku, lubią nawet, aby z pierwszym brzaskiem dnia ktoś zdrowy ich podłaził czyli nawiedził, człowieka obcego zaś nie wpuszczają do domu, aż się dowiedzą o jego zdrowiu, bo po człowieku chorym lub niedobrym przez cały rok albo chorują, albo się im niedobrze powodzi.

<sup>1)</sup> Dr. E. Janota l. c., 9—10.

<sup>1)</sup> Dr. E. Janota l. c., 10.

<sup>2)</sup> Dr. E. Janota l. c. 10—11.

<sup>3)</sup> Dr. E. Janota l. c. 11.

D. N.



## Noc letnia w wierzeniach ludu ukraińskiego.<sup>1)</sup>

Cicho iskrzą się gwiazdy na ciemnym tle nocy ukraińskiej. Błady miesiąc sieje srebrną poświatę na uśpione sioło. Kędyś daleko szeroko płyną tęskne przeciągłe śpiewy dziewczęce — chóry parobczane.

Wśród bzów pachnących, w zielonej kalinie zanosi się słowik — „Trr... trr... ci-ci-citach-tach-tach...”

Starą odwieczną pieśń miłosną śpiewa.

Powietrze przesycone zapachami drzew, oblanym kwieciem białym.

Śpi senne sioło. Cisza. Jenó zabrzączy bąk, przelatując kędyś... Śpią snem twardym, kamiennym spracowani wieśniacy.

Tylko daleko za siołem płoną ogniska, przychają konie na pastwiskach.

W noc taką uroczą, pełną tajemnic i szepców przyrody dusza chłopca ukraińskiego rozmarza się, przepelnia się poezją, i wyobraźnia jego wówczas roi nadludzkie jakieś obrazy, postacie nadmysłowe, widzenia z zaświatów...

Tworzy, wywołując w pamięci swej opowieści i wierzenia ojców, dawne, zasłyszane z dzieciństwa „skazki” matek, pełne grozy, lęku i dziwu.

Otwiera się czarowna skarbnica baśni i wierzeń, uśpiona codzienną pracą, mozołem powszednim; zdrowa, spracowana, jędrna dusza kmiecia z lubością unosi się w światy zaczarowane, tajemnicze.

W taką cichą noc letnią, opiewaną przez poetów, wyszedłem poza obręb sioła w pole szerokie, drzemiące w mrokach tajemniczo, na dawny step ukraiński.

Usiadłem przy kurzeniu<sup>2)</sup> obok „dida” — łanowego<sup>3)</sup>, stróżującego pola pańskie; rozciągnąłem się na murawie na wznak, mając ponad sobą namiot prawieczny — miliony gwiazd — ogromny majestat nocy... Obok w trawach, w zbożu strzykały nieustannie koniki polne. Kędyś zdaleka derkał chruściel na mokradłach. Tuż przedemną niewyraźnie, w mrokach zarysowała się wielką ciemną plamą ogromna mogiła<sup>4)</sup>.

Powietrze ciepłe, mdłe, przesycone aromatami ziół i traw.

„Did” obok mnie pykał z „lulki” machorkę, opowiadał baśnie stare, objaśniał mi każdy szmer, każdy objaw życia nocy letniej, każdy ruch i dźwięk tajemniczy przyrody.

Tam gwiazda spadająca (aerolit) długą, srebrną przędzą błysnęła na ciemnym sklepieniu nocy — to stęskniony latawiec (objasnyk) z zaświatów zlatuje do swej ukochanej na nocne miłosne spotkanie...

Na szerokim szlaku, biegnącym w mroki gęste, wyłonił się jakiś pies włóczęga, przebiega nagle obok nas — to wilkołak dąży do wsi, do „swoich”...

Jakiś ptak tajemniczy, niewidzialny zafurkotał kędyś w mrokach powietrznych nisko, tuż ponad głowami — to wiedźma na miotle poleciała ku Kijowowi — na Łysą-górę.

Cicho pluśnie rybka, srebrne zwierciadło stawu zmarszczy, zatoczy półkole w poświacie miesięcznej — to topielica (rusałka) wynurzyła się z toni.

Wśród ciszy nocnej zagnęła dziwnie zaszeleszcze zboże, zatrzepoczą, zaszumią trwoźnie liście drzew, przemknie ciepły prąd wichru — „kusy” (czort) popędził gdzieś w czahary, w oczerety, na topieliska...

Puszczyk wśród sioła w pustce nagle zawołał „puhuuaj — puaj...”<sup>1)</sup> — to posłaniec śmierci i nieszczęścia złą wróżbę mieszkańcom wsi głosi.

Tuż ponad głową nietoperz zatoczył bezszelestnym lotem krąg — jeden — drugi — to ptak nieczysty (upiór) zlatuje, aby krew niewinną niemowląt i dziewic ssać...

Kędyś w cichej zagrodzie krowa zaryczy żałośnie — to wiedźma ją doi lub też nasłala węża, który wpił się w wymiona i mleko wysysa.

W stajence zarżał koń niespokojnie, trwoźnie — to „domowik” (duch domowy) kielzna go na nocną przejażdżkę<sup>2)</sup>.

1) Z Medwina, pow. kaniowski.

2) Kurzeń stawiają z gałęzi i przykrywają słomą (w rodzaju namiotu) stróże polni na Ukrainie.

3) Łanowy — stróż pola-łanu.

4) Saur — mogiła pod Medwinem (w Kaniowszczyźnie).

1) W mniemaniu ludu puszczyk wydaje krzyk — dosłownie — „pochowaj!” (pogrzebaj!) a na czyjejkolwiek zagrodzie usiądzie, krzycząc swe „pochowaj!” tam napewno coś z dobytku zginie lub ktokolwiek z mieszkańców zagrody umrze.

2) Domownik-duch, który przynosi gospodar-

Zaturkotała bryka na pustym szlaku, pędzi czwórka, jakiś spóźniony zahulany szlachcic powraca z sąsiedztwa — lecz kto zaręczy, czy nie jest to dyabeł, który lubi omamić chłopą i przybiera na się często postać „pana” z za gór — z za lasów?...

Tyle dziwów i czarów roztacza się dokoła w nockę letnią, że któż je naraz wszystkie spamięta i objaśni.

Nocka letnia, nocka ciepła, krótka jest — zeledwie zachód ściemnieje całkiem, zaledwie minie północ, już na wschodzie białawe pasmo świtu powstaje, dzionek „błogosławi się” perlistą smugą.

Oto już kur zapiał i wszelkie duchy nocne straciły moc i siłę nadprzyrodzoną. Wszelkie duchy kryją się — znikają przed przyjsciem jasnego życiodajnego słońca.

Tak „did” z powagą, z wiarą głęboką naucza o dziwach nocy letniej — opowiada i wierzy niezachwianie.

Opowiada na stwierdzenie wiary w „latawca” (objasnyka) fakty przekazane mu przez ojca, który znów z kolei słyszał je od dziada...

„Jako pewnego razu umarł we wsi gospodarz i oto do wdowy począł przylatywać „latawiec” (objasnyk) co nocy<sup>1)</sup>. Wdowa w tęsknocie wielkiej, niepokieszona po stracie męża, myślała o nim dnie i noce, nieustannie go mając przed oczyma swemi — i oto tęsknotą ową ściągnęła go z za grobów. Widywali go sąsiedzi, jak w nockę cichą zlatywał z górnych

stwu dobrobyt; przebywa zwykle na strychu nie lubi srokatek koni — i nienawidzone przez się zwierzęta zajeżdża w nocy, zaplątując w kołtun grzywy; postać ma w niektórych okolicach starca z długą siwą brodą (w pow. skwirskim).

<sup>1)</sup> Lud wierzy, iż tęsknotą można zawsze przywołać zmarłego do siebie i ostrzega przed rozpaczą, gdyż przywoławszy go następnie trudno się pozbyć, i widmo, obcując z żywą istotą, wypija jej żywotne siły, krew gorącą — a „nawiedzany” przez widziadło schnie, wycieńcza się i umiera szybko.



fol. H. Gąstorowski. SZCZEGÓL ZAGRODY (DZIŚ NIEISTNIEJĄCEJ) HRYCIA HUKA W ILCE ŻABIOWSKIEJ, P. KOSOWSKI.

strefów — ognisty. Wdowa zaś nie kryła się z tem bynajmniej, iż obcowiała z latawcem — z widmem męża swego (z objasnykiem). Kilku sąsiadów pewnego wieczoru ukryło się w chacie wdowy pod ławy, przyniosłszy z sobą gorejący kaganiec, przykryty nowym garnkiem, aby nie świecił; kiedy zaś przyleciało widmo i przemówiło do wdowy, zdjęli ów garnek ze światła, kaganiec oświecił izbę — „objasnyk” wówczas zerwał pułap, zwałił dach i uciekł — i więcej go nie widziano.

Inna znów wdowa tęskniła wciąż ogromnie za zmarłym mężem i opowiadała sąsiadkom, iż w nocy nawiedza ją nieboszczyk w postaci „objasnyka”. Jedna z sąsiadek — bab „wiedzających” — poradziła jej, aby przed przyjsciem widziadła wzięła się do smarowania gliną izby, poczynając od progu. Wdowa usłuchała rady, a gdy widmo latawca przyszło, zapytało wnet, po co smaruje izbę od progu, kiedy tego nikt nie czyni i jej też tego czynić nie wypada; wdowa odpowiedziała mu — „a czy słyszana rzecz jest, aby umarły przychodził do żyjącej istoty?” I latawiec znikł natychmiast, nie powróciwszy już nigdy.

Czary i dziwy dzieją się w nockę letnią, lecz najdziwniejszą, największą moc posiada noc niesłychanych czarów noc Iwana Kupaly (św. Jana 24 czerwca); nadprzyrodzone siły wówczas posiadają władzę całkowitą na ziemi; duchy, widma i upiory wszelkie zlatują wówczas z zaświatów i rozwydrzone niepomiarkowaną swobodą wyprawiają orgie i sarabandy piekielne.

W tę noc kwitnie paproć. Szczęśliwy jest ten śmiałek, który kwiat ten posiędzie<sup>1)</sup>. Lecz trzeba pamiętać, idąc poń, aby wziąć nóż — dziewięć razy przez dziewięć Wielkanocy poświęcany, wielki obrus i świecę z wosku wielkopiątkową („strastną“), która przy dziewięciu nabożeństwach przez dziewięć wielkich tygodni paliła się. Nożem trzeba zakreślić miejsce w krąg, przykryć je obrusem, zapalić świecę, usiąść na zakreślonym miejscu i oczekiwać kwitnięcia paproci. Paproć kwitnie o północy — zaledwie jedno tylko mgnienie oka, opadając natychmiast. Kiedy kwiat uda się wziąć (ma on tę cudowną własność, iż szczęśliwy znalazca posiada wraz z nim wszystkie tajemnice świata — przed nim nic się ukryć nie może), aby go złe duchy nie odjęły, trzeba rozciąć dłoń prawą poświęcanym nożem i kwiat założyć pod skórę, aby tam wrósł na zawsze. W czasie kwitnięcia paproci złe, nadprzyrodzone moce straszą — to sterta olbrzymia siana sunie na śmiałka wprost, to znowu kwoczek z kurczętami ciągnie ogromną potworną chatę, to czarna karetka bez koni, bez zaprzęgu toczy się sama, to lezie coś okropnego niby olbrzymia góra.

Tak stare wierzenia, stare bajki i gusa, pogańskich sięgające czasów — po całej Słowiańszczyźnie niegdyś kulturowane — przechowywane przez naszych pradziadów — „did“

<sup>1)</sup> Chociaż opisy nocy świętojańskiej znane są wszystkim — i bynajmniej nowością nie są — podaję tu wzmiankę o niej — jak mi to opowiedział „did“ — nie chcąc wyrzucać z ogólnego opisu nocy ukraińskiej według dawnych wierzeń ludowych skreślonej, aby to ze szkodą całości nie było.

ukraiński z gorącą wiarą głosi w XX stuleciu. I myśl przenosi się mimowoli w te dawne — dawne dzieje, w tę umarłą kulturę aryjską — pradziadów.

Tymczasem dokoła umilkło już wszystko. Senna cisza zaległa. Jeno wśród zboża — samotnie ćwierka świerszcz polny, jeno chruściel derka kędyś na łące, jeno słowik w zielonej kalinie zalewa się „trr... trr... ci-ci-ci-tach... tach...“

I dziad powstał, przeżegnał się potrzykroć i odszedł krokiem powolnym w pole zielone; a idąc wśród zbóż zanucił głosem drżącym, starczym starą kozacką pieśń — starą dumę „Samarke“<sup>1)</sup>. Płynęła z piersi jego дума tęskna niewymownie — dziwnie smutna — ogromnie jękliva.

To zaciągnie długą, bolesną, minorową nutą: „Oj bracia gołąbkowie...“ To szybkim recitativo wyrzuci „I prosił brat brata w niewoli pogańskiej kropelki wody...“

Pieśń cicha coraz dalsza — niby szmer — aż umilkła całkiem. A na wschodzie coraz jaśniejszą stawała się smuga świtu. I poczęły się podnosić mgły siwe i gęste opary. Wielka mogiła wyraźnie rysowała się na tle cichego świtu, wylaniała się, niby ogromna okrągła kopuła tajemniczej świątyni...

A na szczycie jej precudnym mieniącym się blaskiem drżała jutrenka. Chłód rzeźki poranku szedł kędyś z jarów wilgotnych — rośnych...

<sup>1)</sup> Duma „Samarke“ opiewa o trzech rannych braciach, w niewoli tatarskiej jęczących. Jedna z najdawniejszych dum kozackich-ukraińskich.



Nora Walicka.

## POŁĄGA.

5)

Od czasu wycięcia lasu klimat się w Połudzie odmienił, ubyło wiele ptactwa śpiewającego i zwierzyny. Lelków i gołębi dzikich oraz krasek już wcale nie widać. Spłoszone

zające uciekły, w komiczny sposób wpadając w ulice miejsciny. Trzy lata trwało rąbanie i wywożenie lasu, poczem z wielkim nakładem został przez właściciela założony park prywa-

tny przez trzech inżynierów: Andrégo z Paryża, Buissieu z Belgii i Coulona ze Szwajcaryi. Pałac murowali Niemcy, a że klimat nadmorski nie sprzyja murom, cement odstawał i mur kruszył się. Olbrzymi kawał sufitu spadł w pokoju w chwili, gdy tam się znajdowała pani domu, i szczęśliwie opadając zaledwie musnął w ramię. Gdy się lud o tem wypadku dowiedział, wytlomaczył to sobie, że się „święta Biruta mści“ w ten sposób za znieważenie świętego miejsca przez wycięcie lasu i stworzenie ludzkiej siedziby na tem miejscu.

Bo jakąś dziwną losów kolejną Biruta we wspomnieniu ludu stała się świętą. Kobiety, pielgrzymujące do kaplicy na górze, chodząc na kolanach naokoło kaplicy, modlą się do św. Biruty, szczególnie w celu uproszenia zdrowia dla małych dzieci. Pielgrzymki masowe na Birutę zmalały od czasu zbudowania pałacu, z czasem zapewne zupełnie ustaną. Wprawdzie dziś przyciąga znów lud obraz Bogarodzicy, ustawiony w kaplicy w ołtarzyku i odpustem obdarzony, ale pomimo to łatwo zauważyć o wiele mniejszą ilość pobożnych. Biruta, włączona do parku, ogrodzona drutem kolczastym, pozbawiona najstarszych sosen, straciła wiele na swym uroku w oczach ludu.

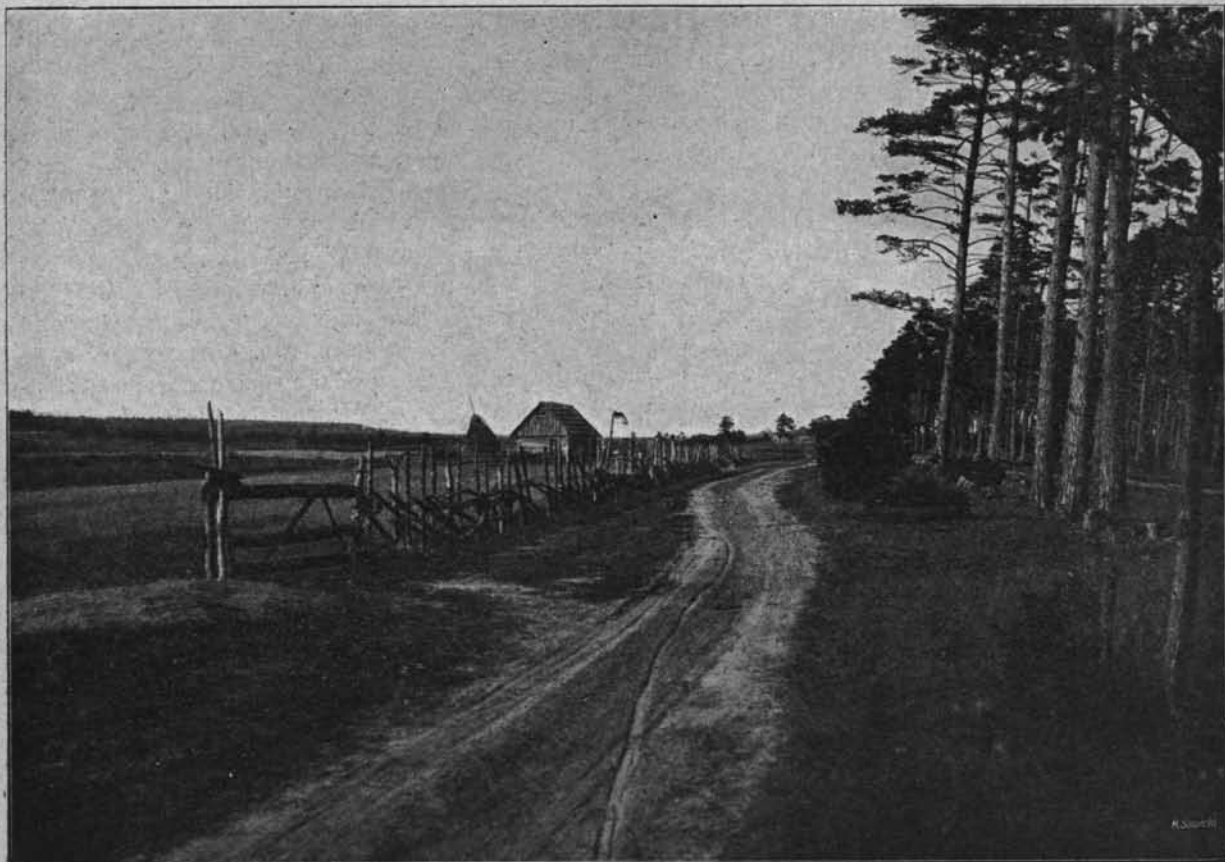
W dolince Biruty była bardzo głęboka studnia, z której czerpano wodę, rzekomo uzdra-

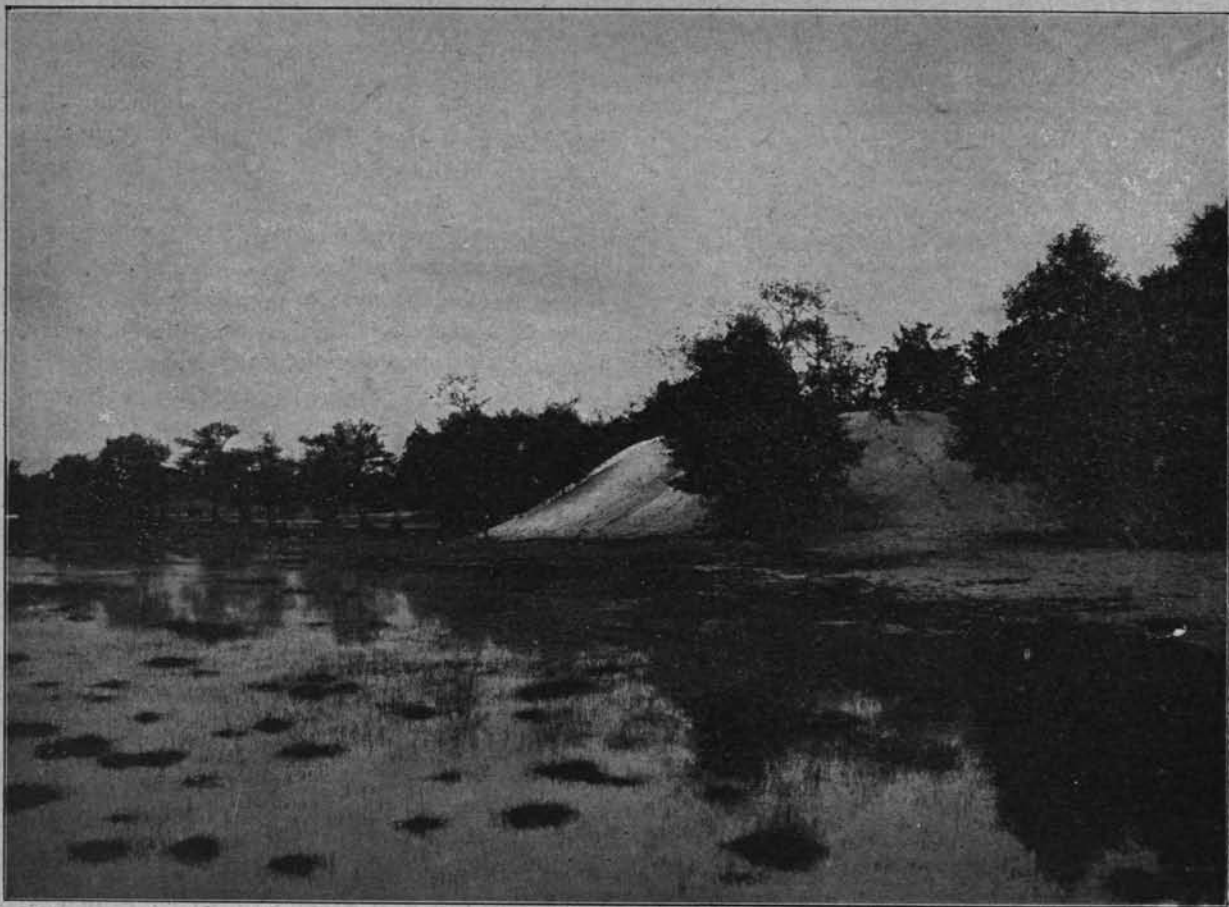
wiającą oczy; obecnie, po wyczerpaniu, studnia została zasypana. W wielu miejscach na Żmudzi są piękne źródła, którym przypisuje lud miejscowy własności uzdrawiające oczy, co się tłumaczy tem, iż trachoma bardzo jest rozpowszechniona na Żmudzi.

Obecnie reszta lasu około Połagi zagrożona jest silnie przez mniszki prądkie. Za lat kilka spodziewać się można smutnego widoku zniszczenia, jakie jest rezultatem pracy tego niewidzialnego prawie wroga.

Nawprost wzgórza Biruty (Biruta inaczej Birucie — jest to imię spieszczone; niespieszczone brzmiało Bira lub Birie) nieco na północ znajdują się w głębi morza, w odległości, do której kąpiący się nie dochodzą, pozostałości fundamentów portu. Wiadomość tę mamy po wycieczce w ubraniu nurka Józefa Tyszkiewiczza, poprzedniego właściciela Połagi, którą to wycieczkę odbył w początku ósmego dziesiątka ubiegłego stulecia wraz z towarzyszem, uczonym zawodowcem, którego nazwisko do nas nie doszło.

Piasek morski posiada tę własność, iż nieruchome przedmioty pochłania, a ponieważ prawo morskie nie dozwala zabierać przedmiotów kultury, wyrzuconych przez morze, losowi temu podlegają wszelkie łodzie, szalupy i okręty, które kiedykolwiek dostały się tą drogą na brzeg.





Z OKOLIC POŁĄGI. WYDMA WĘDRUJĄCA, WKRAZAJĄCA W BAGNO.

fol. ze zb. Pol. Tow. Krajozn.

Takiej zagładzie uległa szwedzka łódź ratunkowa z kajutą, około 1890 r., jak również mały holenderski jednomasztowy statek „Tom” w r. 1899. Burza morska wybucha nagle, zawodząc nieraz najwprawniejszych znawców morza.

Burza zaskoczy czasem łodzie zniecka i bywa, że ledwie kilku ludzi z życiem uchodzi, walcząc wplaw z falami. Szczątki portu pod Birutą zatrzymują topielców, którzy, jeśli ominą je, szybko są niesieni prądem wody na północ, gdyż taki jest prąd pod Połęgą, i zatrzymują się dopiero u ujścia rzeki Świętej. Tam też jadą wdowy i matki, oczekując ciał mężów i synów, śpiewając pobożne a smętne pieśni.

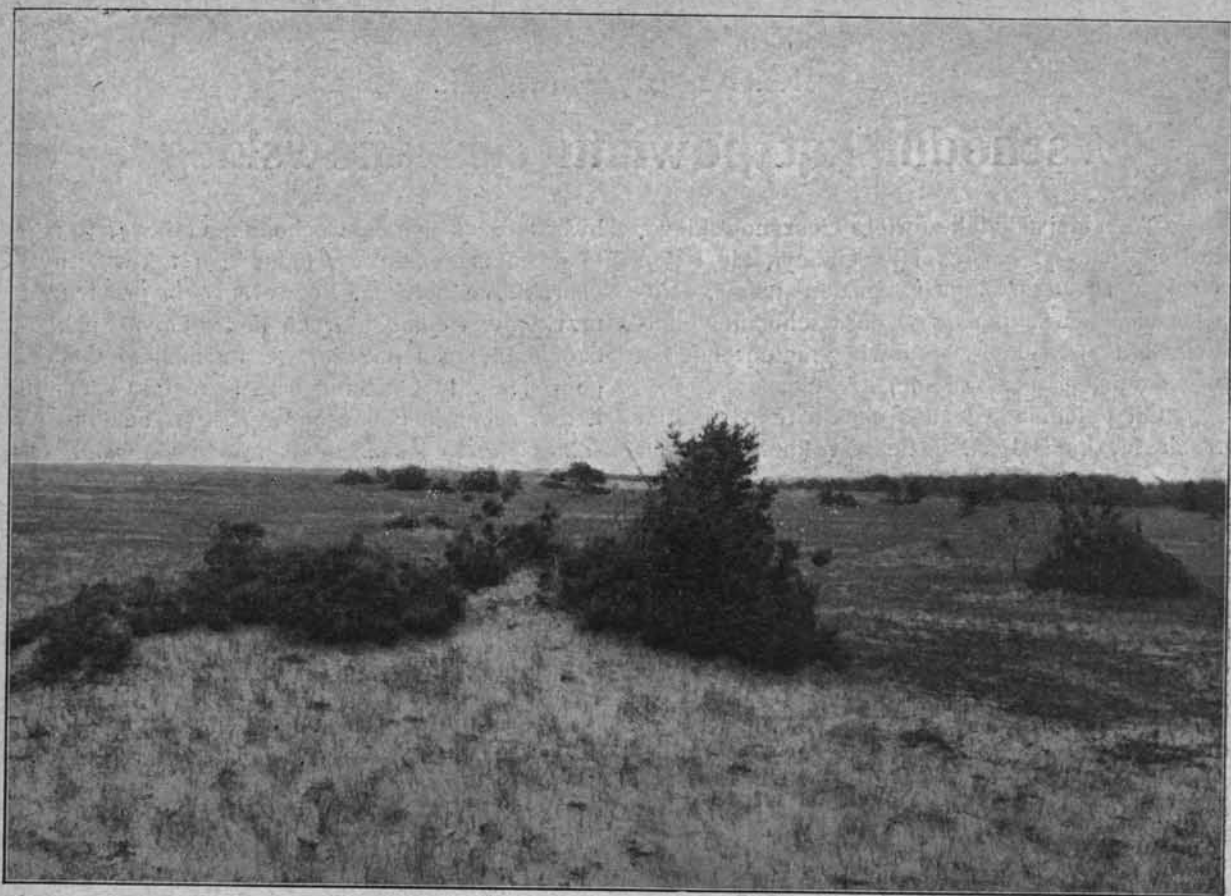
W Połędze od niepamiętnych czasów w każdy piątek o trzeciej po południu odzywa się kościelny dzwon; jest to dzwon topielców, dopominający się o modlitwę za duszę tych, którzy kiedykolwiek potonęli.

Rybacy wypływają najczęściej na połów śledzi. Połów taki najobfitszy jest około marca, kwietnia oraz sierpnia i września. Wypływa się na noc w kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt łodzi i staje grupami na pewnej linii, w odstępach, zawieszając sieci prostopadle. Rybacy umieją poznać, w którym miejscu będzie

przechodził wał śledzi, istna wędrówka milionów, i stają wprost tego wału. Płynące śledzie trafiają w oka sieci i już wydostać się z nich nie mogą. Ciekawy jest też połów wielkiej ilości fląder, zwanych tu otonami. W cichy i mglisty ciepły dzień, specjalnie do połowu tych ryb odpowiedni, wychodzą w pojedynkę rybacy, ubrani w długie, aż na biodra zachodzące buty nieprzemakalne i przywiązawszy do nogi bucz na składanie węń ryby, zapuszczają się niezbyt daleko w morze, kłując przed sobą prostopadle grunt pod nogami oszczepem i depcząc w miejscu. Wygląda to dla niewtajemniczonych zagadkowo i niezrozumiale. Podobnie brodzą, szukając bursztynów, ale posługują się siatką na kiju, przypominającą w powiększeniu siatkę na motyle, inne też wykonywują przyrem ruchu.

Pod Połęgą bywały bitwy, są ślady obozowiska, ciągnącego się pół wiorsty lub więcej. Trudno o jego wielkości dziś sądzić, gdyż jednego tylko trójkąta zachował się zarys. W rynku leżały szwedzkie armaty pozbawione lawet, które później zostały przeniesione do parku<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> W zakładowym parku w Połędze (dawniej rezydencyjnym) znaleziono grób jakiegoś kontuszowca, którego buty znosił włoszianin. Grób ten



rot. ze zb. Pol. Tow. Krajozn.

SÓSNINA KARLOWATA NA PIASKACH NADBRZEŻNYCH POD HOLENDERSKĄ CZAPKĄ (POŁĄGA).

Poługa dzieliła się na starą i nową — stara obejmowała chaty i domki rybackie i włościańskie, nowa miała kilkanaście domów wraz z pocztą i kościołem, które to domy umieścili się wzdłuż domu lipawsko-memelskiego. Dziś widać wiele się już zmieniło i po zniknięciu lasu oraz przeniesieniu z dawnych siedzib na nowe t. zw. wolnych ludzi w latach (1901—3 roku) coraz bardziej zaczęły się zabudowywać wydmy i pustki piaszczyste w stronę morza.

Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, gdyby zaczęto uważać Poługę jako oazę dla osób, które szukają orzeźwienia starganych nerwów wśród przczystego powietrza i błękitnych śniegów zimy. Poługa nie jest jedynie letnią stacją

klimatyczną. Latem, przy napływie ożywionych tłumów Poługa przybiera szatę banalną, przynajmniej pewna część tej Poługi bawiącej się i „depczącej”. Latem dla ludzi o wysokiej kulturze ducha i umysłu, ludzi, których u nas bądź co bądź jest mało, ale o których istnieniu wątpić nie mamy prawa, Poługa przez czas sześciotygodniowego trwania sezonu jest najmniej powabna. Powabem jej całym jest oświetlenie elektryczne i dostatek służby, czego w innych miesiącach niema. Ale urok prawdziwy, ten urok, którego szukają nie panny na wydaniu i nie bywalcy kabaretów, pogłębia się i trwa właśnie wtedy, gdy rój gości około łaźni znikną. Cudowny jest pobyt od połowy stycznia przez luty. Takiego pobytu zimowego niema chyba nigdzie w dostępnym nam klimacie. Powietrze przczyste, mrozy lekkie, przestrzeń prześwietlona i nagrzana słońcem, dają niezrównane spacery.

D. N.

tkwił przed trawnikiem klombu, przez którego miejsce przechodzi dzisiaj aleja główna od białej bramy.



## Wschodni kąt powiatu cieszanowskiego.

Wschodni zakątek powiatu cieszanowskiego, jest nietylko piękną częścią Galicyi, ale i pod względem ludności jest godzien uwagi. Powiat cieszanowski należy do wschodniej Galicyi, ale poniekąd stanowi granicę między wschodnią, a zachodnią jej częścią.

Od południa wjeżdża się do tego zakątka z miasteczka Bełzca, gdzie jest komora celna. Od stacyi kolejowej w Bełzcu prowadzi jeden gościniec do Tomaszowa, leżącego w Królestwie, a drugim wyjeżdża się z powiatu rawskiego do cieszanowskiego. Gościniec prowadzi przez urocze lasy, przeważnie szpilkowe. Pierwszem miasteczkiem jest Narol, łączący się przez rzeczkę z Lipskiem. Oba, pełne Żydów, mają typowe rynki. W Lipsku jest stynna bożnica jeszcze z czasów Chmielnickiego. Ziemia tutaj dość urodzajna, choć nie najlepsza. Charakterystyczną jest rzeczą, że tak w Narolu, jak w Lipsku jest kościół, jeden od drugiego oddalony o 10 minut drogi. W Narolu parafia założona była w r. 1505 przez Floryana Łaszcz-Neledowskiego; kościół obecnie istniejący zbudowany był w r. 1847, zresztą nic w nim szczególniejszego; w Lipsku parafia ufundowana w r. 1625 przez Samuela z Lipia Lipskiego, kościół zbudowany w r. 1858, również zwyczajny. W całej archidiecezyi lwowskiej niema drugiego przykładu, gdzieby dwa parafialne kościoły tak blisko siebie leżały, nie biorąc oczywiście pod uwagę miejskich. Na blisko 6000 ludności katolickiej polskiej w obu parafiach jest około 600 ruskiej, a nowa cerkiew powstała z aż nadto szczodrej ofiarności Polaków.

Z Narola jedzie się dalej gościńcem bitym do Płazowa. Jest to dzisiaj uboga wieś, ale dotychczas figuruje w aktach urzędowych jako miasteczko. Płazów i kilka okolicznych wsi leżą w lasach szpilkowych, których jest przeszło 20,000 morgów w jednym kompleksie; sięgają one aż do granicy Królestwa. Ziemia tutaj są piaszczyste, mało urodzajne. Ludność też nie może wyżyć z ziemi, ale przeważnie z zarobku. Płazów ma dość ładny murowany kościół (w r. 1843), a liczy 4500 parafian z kilku jeszcze wioskami. Przeważna część lasów należy do bar. Wattmanna, Niemca; niema tam rabunkowej gospodarki, a wszelkie wyręby i zalesiania są tak wzorowo i racjonalnie prowadzone, że mogą za wzór służyć.

Ten kącik Galicyi przytyka do Chełmszczyzny, a ludność jest pokrewna tamtej. Gdy-

byśmy przeszli całą wschodnią Galicyę, to ma-  
ło gdzie znaleźlibyśmy ludność o tak wybitnym  
charakterze polskim. Pozwolę sobie przytoczyć  
przykłady, według których podzieliłbym pocho-  
dzenie ludności polskiej we wschodniej Galicyi  
po wsiach. 1) Gdzieniegdzie pozostały szczątki  
t. zw. szlachty chodackowej, która aczkolwiek  
schłopiała, to jeszcze dziś uważa się jako lu-  
dność wyżej stojąca kulturalnie od chłopskiej,  
choć w rzeczywistości niczem nie różni się,  
a zacofaniem, krafcowem nieuctwem, a zwa-  
szcza pieniactwem nieraz ją przewyższa, zwy-  
kle jednak twardo trzyma się obrządku rzym-  
sko-katolickiego i narodowości polskiej. Że ta  
ludność jest pochodzenia szlacheckiego, mamy  
dowody w metrykach, a nawet dyplomy szla-  
checkie można znaleźć u nich w domu. 2) Lu-  
dność osadnicza. W wyludnionym kraju trze-  
ba było rąk do pracy, a że miejscowa ludność  
nie wystarczała, przeto sprowadzano ją ze stron  
odległych. Pełno tutaj dawnych i nowszych  
osadników. Niezmierzone obszary lasów wy-  
magają dużo robotnika, nadto wyrabiano w la-  
sach dziegieć i smołę i do tej pracy używano  
przeważnie Mazurów. W każdym razie i ta  
ludność jest nawskrość polska. Przejdźmy ca-  
łą wschodnią Galicyę, a znajdziemy niewiele wsi,  
gdzie Polacy używają w potocznej mowie ję-  
zyka polskiego, większość mówi w domu i mię-  
dzy sobą po rusku. Żeby się ten nałóg wyko-  
rzenił, na to trzeba całe wieki pracować, a na-  
dzieja chyba w młodem pokoleniu. Straszny  
konserwatyzm jak jad wsiąknął w chłopca pol-  
skiego i sprawił, że mu ta gwara najmilsza.  
Tutaj przeciwnie, są wsie, gdzie Polacy zgoła  
ruskiego narzecza nie znają i dzieci z trudno-  
ścią uczą się go jako drugiego języka krajo-  
wego. Nawet w tych wsiach, gdzie Polacy po-  
mieszani są z Rusinami, mówią wyłącznie mię-  
dzy sobą po polsku.

Szkodę też przynoszą we wschodniej Ga-  
licyi Polakom mieszane małżeństwa. Przecię-  
tnie prawie w każdej parafii najmniej trzecia  
część, jeżeli nie połowa ludności składa się  
z małżeństw polsko-ruskich. Według kon-  
kordyi kościelnej dzieci w ten sposób bywają  
chrzczone, że chłopcy idą za ojcem, a dziew-  
częta za matką. Poza tem zdarzają się ciągle  
spory, czy ma się obchodzić święta według ob-  
rządku rzymsko-katolickiego, czy grecko-kato-  
lickiego. Stroja silniejsza usiłuje słabszą zmu-  
sić do zmiany obrządku. W naszym zakątku

niema mieszanych małżeństw, przynajmniej jest ich niewielki procent. Bardzo też rzadkie są wypadki, aby młodzieniec sobie szukał dziewczyny w innej stronie, najczęściej żeni się w swojej wsi. Stąd ta ekskluzywność Polaków od Rusinów.

Sposób życia tejże ludności jest dość prosty, ale nie pozbawiony pewnych swoistych przymiotów. Ludność jest dość spokojna, a nadzwyczaj pobożna. Tam gdzie nie może wyżyć z ziemi, zarabia w zimie przy wyrębach, a latem „idzie światami“, skąd przynosi dużo naleciałości. Jednym ze skutków tego jest zarzucenie stroju ludowego, a przybranie się w pruską tandetę. Jeszcze niektórzy jednak

ubierają się w białe płótnianki, które sobie sami w domu wyrabiają. Ponieważ młodzież ma dobre zarobki, więc i tu wkrada się zbytek w strojach, z dziewcząt każda chce się na święto inaczej ubrać. Jednak ludność na ogół dobra, a w obcowaniu uprzejma.

Powyższy bardzo krótki opis wschodniego kątu powiatu cieszanowskiego nie może uchodzić za monografię; chciałem zaznaczyć tylko polskość okolicy, tak mało znanej w Galicyi, a tem mniej poza nią, ciekawej zaś choćby dlatego, że sąsiaduje z Chełmszczyzną. Na zachód jest już ludność polska pomieszana z ruską i niema już tego wybitnie polskiego charakteru.



Al. Janowski.

## Imigracja polska w Stanach Zjednoczonych. <sup>7)</sup>

### VII. Zajęcie imigrantów w drugim pokoleniu (Occupations of immigrants)

Komisyja imigracyjna, której myślą oczywiście jest możliwie szybkie przerobienie 57 narodowości imigracyjnych na solidnych „cizenów“ Unii, żywo badała sprawę różnic w zajęciach pierwszej a drugiej generacji przybyśców i wyniki swych badań zamieściła w vol. 65 „Sénate Documents“.

Nas może jeszcze żywiej obchodzi sprawa tego drugiego pokolenia, które się już na wolnej ziemi Stanów urodziło, a że silny wpływ elementu polskiego ciągnie się od roku 1870, a więc już piąty dziesiątek lat, przeto materiały już są zgromadzone duże.

Z materiałów tych wynika pocieszająca dla nas wiadomość, że na ogół druga generacja polska staje ekonomicznie i kulturalnie wyżej od swych rodziców. Przytem charakterystyczna cecha polskiego chłopca: przywiązanie do ziemi nie słabnie tu, lecz przeciwnie z siłą powrotnej fali uderza o te rolnicze rzesze, czasowo wchłonięte w rozgwar wielkiego przemysłu, ale już w drugim pokoleniu otrząsające się z nienormalnego dla siebie typu pracy, a zwracające się w kierunku odwiecznych, dziedzicznych upodobań.

Podczas gdy ojciec, oderwawszy się od roli nad Narwią czy Wieprzem, niechętnie bierze widły czy grabie w rękę na imigracji, syn jego garnie się właśnie do roli. W liczbie osób, badanych co do zajęć, na roli pracuje: pierwszego pokolenia 10.5%, drugiego zaś 24.0%; natomiast liczba robotnika fabrycznego, t. zw. labourer not specified, to znaczy bez żadnej specjalności, najciężej pracującego, z 29.1% w pierwszym pokoleniu spada do 15.7% w generacji drugiej.

Spada też liczba w służbie domowej 31.5% wśród starszej do 18.1% wśród młodszej generacji. Zmniejsza się nieznacznie liczba „salunistów“ z 1.0% na 0.8% (i to coś warte). Natomiast wzrasta liczba pracowników w dziale przewozowym z 12.1 do 17.0%. Pchają ludziska swoich synów na urzędników (0.5 u starych — 3.0% u młodych). Wzrasta liczba wykwalifikowanych rzemieślników, zwłaszcza budowlanych z 2.9% do 4.6%, cieśli z 1.3 do 2.3%, maszynistów z 0.7 do 1.2. Rzucają natomiast popłatne lecz bardzo znojne prace górnicze, zatrudniające 7.7% wśród starych, a tylko 5% wśród młodego pokolenia.

Po staremu nie garną się do handlu, cyfra kupców spada z 4.1% wśród starszej generacji

do 2.0% wśród młodej, idą jedynie na pracowników kupieckich, jak wyżej wskazano.

Młode pokolenie kobiet też różni się bardzo w charakterze zajęć od starszego. Przewszystkiem spada liczba służby domowej, owych dziewcząt „do wszystkiego“, a w rzeczywistości do niczego. Ta grupa pracy zatrudniała 33.9% starszych badanych, a tylko 27.6% młodych; spada cyfra kelnerek z 24.1% do 20.4%, spada liczba robotnic mozolnego a mało popłatnego przemysłu włóknistego z 18.8% do 7.2%, spada cyfra „labourers not specified“ z 2,2 do 1.7%.

Natomiast wzrasta liczba pracowników w popłatniejszych gałęziach zarobkowania, jak np. sklepowych z 2.5 do 5.9%, krawcowych z 4.4 do 5.5%, szwaczek z 18.4 do 21.8%, rzemieślniczek z 6.6 do 13.1%, urzędniczek z 0.7 do 1.9%, a nawet, o dziwo! nauczycielek z 1.2 do 2.0%.

Rozbijając jeszcze bardziej szczegółowo pozycje zajęć, zauważymy, że okazują się w młodym pokoleniu pracownicy, jakich nie było w starszym wcale, np. dentyści, prawnicy, żołnierze i marynarze St. Zjednoczonych, pracownicy bankowi, stenografowie, telegrafisci, rybacy, pudelkarze, fotografowie, szcztokarze, aktorzy, nauczyciele, elektrotechnicy, urzędnicy państwowi, policjanci, żeglarze, gazownicy, szklarze, wszystko to w nieznacznym jeszcze procencie, ale prawie we wszystkich 146 zajęciach, wyliczonych przez komisję, znajdują się Polacy.

Wśród 143 zajęć, wymienionych dla kobiet, też prawie wszędzie spotyka się Polki, a są wśród młodego pokolenia: aktorki, agentki, telefonistki, malarki, jubilerki, zegarmistrzyni, litografki, szcztokarki, których nie było wcale w pierwszym pokoleniu imigrantek.

Zauważyć tu jednak trzeba, że drugie pokolenie Polaków nie jest zbyt liczne, przybývają bowiem do Stanów najczęściej bezzenni mężczyźni, lub też pozostawiają rodziny w kra-

ju. Stąd też, podczas gdy komisja mogła zbadać 183,055 imigrantów, to tutaj urodzonych Polaków miała tylko 25,975, a badała naprzykład 714,222 starszych, a 1,090,103 młodych Irlandczyków; 1,276,046 starych, a 1,491,839 młodych Niemców. Stąd też i dane polskie muszą być z konieczności mniej ściśle.

Charakterystyczne jest to usuwanie się od ciężkich fabrycznych zajęć: kopalnie Pensylwanii zatrudniają 2,352 młodych obok 34,730 starych, stalownie Ohio — 8,342 starych a 965 młodych Polaków, przędzalnie i tkalnie Massachusetts—5,731 starych, a 231 młodych.

Natomiast w rolnictwie obok 7,795 starych pracuje 5,729 młodych Polaków.

Wśród kobiet obok 3,023 pracujących w przemyśle bawełnianym imigrantek zaledwie 72 jest z młodego pokolenia.

Polski element rolniczy Wisconsinu, Minnesoty i Michiganu wzrasta silnie.

Sumując powyższe wyciągi, daje się zauważyć, że:

- 1) Druga generacja polska jest nieliczna.
- 2) Wzrasta grupa ludności rolniczej.
- 3) Porzucają ciężkie warunki pracy w kopalniach węgla, stalowniach i tkactwie.
- 4) Zajmują stanowiska zarobkowe, jakich rodzice zająć nie mogli. To dzieje się naturalnie skutkiem znajomości języka angielskiego, którego brak zagrażał rodzicom drogę do takich zajęć.

Naturalną konsekwencją jest, że ani ci rolnicy z Wisconsinu, ani ci rzemieślnicy budowlani z miast amerykańskich, ani ci urzędnicy lub kupcy do kraju napewno nie powrócą. Wyrośli w innej kulturze i warunkach, zżyci od dziecka z nowym społeczeństwem, do śmierci będą służyli Stanom i gwiazdzystemu sztandarowi. Dobrze, jeżeli będą pamiętali i czuli, że z polskiej ziemi ród ich się wywodzi ale o powrocie, nad Wisłę i Wartę nie może być nawet mowy.

C. D. N.



# Z NASZEJ TURYSTYKI.

Tadeusz Radliński.

## „Gdzie wschód się kończy...”

5)  
(dok.)

Stosunek żołnierzy względem oficerów jest dość ciekawy. Widziałem na stacjach kompanie, żegnające odjeżdżających oficerów. Każdy żołnierz, w miarę tego jak oficer przechodził przed frontem, każdemu mówiąc słów kilka, salutował po europejsku, zlekka się pochylając obyczajem japońskim, i jednocześnie odpowiadał słowami na pożegnanie. Ale tyle było w tym jakiejś tajonej ojcowskiej troskliwości z jednej strony, a pełnej szacunku życzliwości z drugiej, że to mnie doprowadza do wniosku, iż ten cement łączący szeregowców z oficerami jest ogromnie dodatnim elementem i atutem powodzenia. Nie jest to pełna nienawiści i lęku żelazna subordynacja pruska, trzymająca bardzo daleko armatnie mięso od zwierzchników, ale jakieś zobopólne porozumienie się, cement, spajający głęboko poszczególne cegielki budowli, dzięki czemu jest ona trwała i mocna. Pomijając kwestyę techniki wojskowej i organizacyi, sądzę, że dzięki temu właśnie cementowi armię japońską nawet wyżej od pruskiej postawić można. Instytucyi tak zwanych żandarmów kolejowych nie zauważyłem zupełnie. Pociąg staje na wszystkich stacjach i publiczność ciągle się zmienia. Z przyjemnością i ciekawością spoglądam na barwne „obi” (pasy) na ciemnych podróżnych kimonach porcelanowo-twarzyczkowatych Japonek. Na takie kimono szanujący się podróżny obu płci nakłada ciemne leciutki z przejrzystego jedwabiu kimono-palto, spięte na piersiach taśmą ze sprzączką. Nogi mężczyzna może mieć gołe i swobodnie je obnaża (spodni Japończycy nie noszą, jeno rodzaj przepaski od bioder pomiędzy udami), ale kobiety starannie nogi zakrywają. Drewniane lub z wikliny sandały stoją na podłodze, a obute w rodzaj półczochy-trzewiczka z wielkim palcem oddzielnie nogi są podwinięte na ławce. Stosunek kobiet i mężczyzn nawzajem odrazu się zaakcentowuje — całkiem różny od naszego. Wyobraźmy sobie przedstawicieli armii i płci pięknej siedzących obok siebie u nas w Europie! Ileby zaraz było półuśmiechów, podkręcania wąsów i brzękania ostrogami z jednej strony, a przeraźliwie niewinnej naiwności, wyrażającej się robieniem t. zw. oka i skromnej minki z drugiej. Tego całkiem tu niema. Moje rycerskie ja wstrząsa się z oburzeniem, że siedzący obok ślicznej Japoneczki z jeszcze śliczniejszym dzieciaczkiem na kolanach obrońca ojczyzny patrzy na nią z tym samym wyrazem twarzy, z jakim przed chwilą spoglądał na umieszczone wzdłuż wagonu spluwaczki. Oczywiście staram się wynagrodzić to karygodne niedbalstwo i częstuję małą czekoladą. Zyskuję grzeczny uśmiech ślicznej mamusi i podziękowanie, ale czuję, że i ona spogląda na mnie z tym samym wyrazem. I rzeczywiście żadnego zaczepno-wyzywająco-odpornego stosunku niema ani

ślądu w Japonii pomiędzy odmienną płcią! Dlatego to Japończycy kąpią się razem bez kostiumów, absolutnie żadnej nie zwracając uwagi na obnażone wdzięki. Kobiety zaś w upał chodzą obnażone do pasa w małej tylko przepasce na biodrach do kolan zawiniętej — coś w rodzaju spódniczki; co prawda dzieje się to tylko tam, gdzie niema Europejczyków, bo policja zabrania tego rodzaju kostiumów (a właściwie braku takowych) w miejscach przez turystów uczęszczanych. Górą moralna Europa, lubiąca wszystko zakrywać, co robi!

Pociąg nasz biegnie szybko poprzez starannie uprawiane przez niebiesko odzianych Mandżurów pola. Nie jest to wprawdzie ogrodowa uprawa, z jaką zapoznaliśmy się w Japonii, po sposobie jednak uprawy, po równiutkich rzędzikach zielonych zbóż widać, jak jest staranna. I niema tu 3-półowki, nie mówiąc już o systemie „scelnym” spotykanym we wschodniej Rosyi, gdzie pole 1 raz na 15 lat jest zlekka uprawiane, służąc jako odlóg i pastwisko przez 14. Nigdzie nie widać ani piędź ziemi nieuprawnej, ani glogu, ani ugoru. Pociąg pędzi żyzną doliną o czernawym gruncie, od którego żywo odbija jasnozielona pszenica. Zdaleka patrząc, myślę że musi tu być sporo glinki lessowej, sądząc po charakterystycznych, głęboko wyżłobionych przez wodę wąwozach i drogach, głęboko niżej poziomu pól kołami niezdarnych 2-kołowych arb żłobionych. Dłuższy przystanek w Telinie, ostatniej kwaterze armii rosyjskiej. Stąd już ku południowi jechać będziemy przez obficie krwią ludzką skropione pola. Nazwy stacji są pisane hieroglifami chińskiego pochodzenia, a oprócz tego alfabetem japońskim i po angielsku, można się więc łatwo orientować.

Koło 8 wieczorem stajemy w Mukdenie. Obfita i smaczna kolacja w poczekalni hotelu Jamato na dworcu. Przedtem w wagonie próbowaliśmy jeść jakieś małe rybki w sosie ostrym, w puszcze konserwowej kupione. Do tych rybek dostaliśmy drewnienko stopę długie, rozszczepiane. Drewnienkiem tym tykaliśmy w rybki, wyciągając je niezgrabnie. Dopiero potem dowiedziałem się, że drewnienko należało rozszczepić do końca i byłyby 2 paleczki, do jedzenia zwykle na Wschodzie służące. Pociętnie musieliśmy wyglądać, dybiąc w te rybki patykiem.

Wyobraźmy sobie u nas w wagonie kogoś, kto by jadł mięso trzymając widelec albo nóż za odwrotny koniec! Ileby było śmiechu. Tu nikt z publiczności ani się nie roześmiał z naszych nieudolnych i bezowocnych usiłowań. Półdżicy barbarzyńcy Wschodu! Pamiętam, że gdy w Irkucku wsiadła jedna rodzina chińska — podróżująca I klasą — a to samo już budzi poszanowanie wśród stacyjnej gawiedzi, to Chińczyk ów nie mógł się pokazać na

peronie, żeby nie wzbudzać radości mocno niezycziwej. Jeżeli szedł z imbrykiem po gorącą wodę na herbatę, a nie wiedział, dokąd ma się skierować, nie było wypadku, żeby mu nie pokazano drogi w zupełnie odwrotnym kierunku niż trzeba było. Nawiasem mówiąc zaznajomiłem się z nim i był to wysoce kulturalny człowiek, bardzo grzeczny; jego mała 4-letnia córeczka — śniada z małym pęczkiem włosów na czubku głowy, związanym malinową twardą wstążką, w czarnych majteczkach — chętnie przyjmowała odemnie czekoladki, a on częstował mnie cygarami. Ciężko nam się jednak było porozumieć, bo ja nie ovladnęłem jeszcze w zupełności chińskim językiem prócz słowa „cin-dzo“, co znaczy „proszę siadać“, a on wymawiał zrozumiale dla mnie jedno tylko słowo „Har-bin“ w niesłychanie gardłowy sposób. Rozmowa więc nasza nie była zbyt urozmaicona. Za Mukdenem (po japońsku Fengtjen, choć charakter t.j. znak oznaczający to słowo jest wspólny dla obu tych języków — będąc zresztą o tem mówił później) układamy się spać na małych 2-osobowych ławeczkach, umieszczając się w kucki po japońsku. Jasny ranek zastaje nas na południowej części półwyspu Laotuńskiego. Naokoło górzyste sopki; uprawna równina, po której biegnie pociąg, wciąż jest przerywana przez małe kurhany, gdzie pogrzebano poległych w ostatniej wojnie. A ilość tych kurhanów jest ogromna. Wszędzie oko spotyka te zieloną trawą porosłe mogiły. Robią one silne wrażenie. Napisy na stacyach są znane z opisów słynnych bitew. Oto przejeżdżamy przez wązki przesmyk półwyspu. Na lewo ku wschodowi widać morze — odsłaniające w odpływie szare dno, po którym brodzą masami dzieciaki przy połowie ryb i mięczaków, a dalej zarysowują się na horyzoncie wyspy, które służyły jako podstawa operacyjna dla floty japońskiej.

Pola krwią ludzką zlane obficie! I przypomina się starożytna słoneczna Hellada i Xerxes i Dariusz. Że też ludzkość od tylu (24) stuleci nie posunęła się kulturalnie o tyle, żeby nie koniecznie zabijać swego sąsiada w celu zajęcia jego ojczyzny! A tu tymczasem, gdy te słowa piszę, wre bratobójcza walka słowiańskich narodów na Balkanach, a Japonia jest zupełnie gotowa do wojny z Chinami, żądając indemizacji za śmierć 4 Japończyków w Nankinie i 5,000,000 jen za ich zniszczone mienie. A Chiny północne wciąż walczą z południowemi — który też z ambitnych jenerałów zdoła swe chciwe ręce w kieszeń z podatkami zapuścić! „O ludzkości, ty rodzie Kaina...“

Oto i boczna linia kolejowa, prowadząca z Dairen do Portu Artura (obecnie Liu-szuń), gdzieś za temi potężnymi górami położonego. Krwawo płonące karty historii jedna za drugą są przewracane w moich oczach!

O 7 stajemy w Dairen — parostatek Kole-Maru odchodzi o 12. Śniadanie w eleganckim kolejowym hotelu Jamata i zwiedzanie miasta. Europejska część miasta wygląda jak bogate wille o międzynarodowej architekturze, tonące wśród ogrodów z eleganckimi ogrodzeniami. Ulice gładkie jak stół — wylane asfaltem, masa tramwajów elektrycznych sunie przez nie. Liczne miliony rubli, a potem jeńców pochłonęło to zbudowanie miasta — ale też wygląda jak cacko. W przystani ruch ogromny. Parowce

do Chin i Japonii kursują tu stale i regularnie. Biura urzędowe w porcie zajmują budynki o architekturze ściśle bizantyjskiej. Sic transit gloria mundi. Pierwsze próby porozumienia się w języku angielskim są bardzo niefortunne, rosyjskiego nie zna nikt. Nakoniec o 12 Kobe-maru rusza.

## V. Morze Żółte.

Jesteśmy na morzu Żółtem. Pierwsza rzecz na morzu to rozkoszna kąpiel morska w wannie po 2 tygodniach, spędzonych w wagonach 9 kolei, jakieśmy po drodze przebyli. Do białej jak mleko, czystuśkiej wanny nalewa się zimnej wody morskiej, wprost z błękitnej toni pompowanej, a potem otwiera się kran dla pary, która tę wodę ma ogrzać. Rozlega się przerażający zgrzyt pary wydobywającej się z rury, zupełnie jakby kto maszynę parową żywcem ze skóry obdzierał. Za chwilę woda nagrzana. Pograżasz swoje obrzydliwe kolejowe ciało w ciepłą słoną wodę i zaznajasz niesłychanych wprost rozkoszy! Jakbyś się na nowo na świat narodził!

Japońskie parowce są urządzone doskonale. O ile inne kompanie okrętowe uważają za ludzi tylko pasażerów I klasy i dla nich urządzają wszystko, co jest ostatnim wyrazem komfortu, Japończycy rozciągają pojęcie „homo“ i na II klasę. Jest nam więc bardzo dobrze. Mamy prawo chodzić po całym statku, tylko stół mamy osobny.

Co to za nadzwyczajna jest przyjemność po 2 tygodniach, spędzonych w wagonie, mieć naokoło siebie olbrzymią przestrzeń. Świeży wiatr morski bez swędu, dymu i kopci! Jestem jak wniebowzięty. Jedna tylko rzecz mąci harmonię duchową! Dlaczego, u diabła, to tak bardzo błękitne morze nazwano Żółtem?

Przynależność moja do kościoła rzymskiego a nie greckiego oczywiście uniemożliwia mi (według ścisłego brzmienia cyrkularza Min. Ośw., № nie pamiętam) pojmowanie a tem bardziej wyłożenie ci, o czytelniku, rzeczy tak ściśle z wyznaniem połączonej, jaką jest geografia.

Przypominam więc sobie tylko odpowiednie ustępy wszystkowiedzących Smirnowów i Lebediewów i jestem w silnej duchowej konsternacji. Dopiero, gdy słońce pochyliło się znacznie ku zachodowi — zrozumiałem: cała zachodnia połowa nieba była silnie żółtego koloru. Od żółtego łądu szła żółta emanacja na błękitne niebiosa! I rzeczywiście powietrze na suchych krańcach Azji jest wciąż przepelnione żółtym leciutkim pyłem. Pył ten, niesiony przez wiatry ze środkowych suchych wyżyn, napelnia powietrze, a osadzając się w ciągu licznych tysiącleci tworzy pokłady żynnego lessu.

Zapada noc, termometr wskazuje 54° F. Chłodno. Zdaleka widać latarnię morską Czi-fu. Nagle jakiś nieokreślony powtarzający się w odstępach syczący szmer zbiega ku nam gdzieś z wysokości masztów, a jednocześnie błękitnawe lśniące światło błyska w kabinie na pokładzie z napisem „Wireless“ „Danger“, „Keep out“ (Telegraf bez drutu. Niebezpiecznie. Trzymaj się zdala). To markogramy przylatują do nas gdzieś z odległej przestrzeni —

tale elektryczne schwytane przez geniusza człowieka!

Nazajutrz prawie cały dzień schodzi nam na odpoczywaniu po trudach kolei — w sobotę zaś 1 czerwca stanąć mamy w Szanhaju — pierwszych wrotach do olbrzymiego państwa żółtego smoka —

do Rzeczypospolitej Środka! Z tą myślą kładziemy się wcześniej spać — jutro będziemy w Chinach.

Na tem kończy się pierwszy etap mojej podróży naokoło świata. Po półtoramiesięcznym pobycie w Chinach wyruszyłem, już sam jeden do Japonii, na wyspy Hawajskie i do Ameryki.



## Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



Sekcja Mitośników Warszawy Pol. Tow. Krajoznawczego przerywając swe czynności na czas feryi letnich, odbyła niedawno dwa posiedzenia pod przewodnictwem p. Henryka Fukiera, na których wygłosili odczyty: prof. Władysław Smoleński i prof. Adam Szpadkowski.

Pierwszy z prelegentów w odczycie p. t. „O samorządzie Warszawy za Stanisława Augusta” przedstawił historię komisji „boni ordinis”, powołanej do życia przez Stanisława Augusta w celu uporządkowania stosunków w magistratach, cechach i innych organizacjach miejskich. Wielce ceniony nasz historyk, opierając swój ciekawy wykład na studjach gruntownych, omówił szegółowo działalność owej komisji.

W odczycie „Warszawa w dobie napoleońskiej” prof. Szpadkowski, mówiąc o epoce Ks. Warszawskiego, przesunął przed licznie zebranymi słuchaczami jakby obrazy Warszawy ówczesnej we wszelkich przejawach jej życia, dobitnie scharakteryzował mieszkańców na tle wypadków doby napoleońskiej, barwnie wypuklając wybitniejsze postacie historyczne. Prelegent wywołał żywe oznaki zadowolenia słuchaczy nie tylko dzięki ciekawemu tematowi swej prelekcji, lecz również dzięki świetnej formie, jaką rzadki dar wymowy prof. Szpadkowskiego nadaje wszystkim jego przemówieniom.

Członkowie sekcji zwiedzili zbiorowo Wystawę starych rycin polskich p. Dominika Witke-Jeżewskiego w kamienicy Baryczków, gdzie objaśnień udzielał członek komitetu wystawy dr. Władysław Tatarkiewicz.

oooooooo

### Przebieg pogody w miesiącu maju 1914 r.

Sprawozdanie Kom. Fizyograficznej P. T. Kr.

Wbrew przysłowiu, które zachwala suchy marzec a maj mokry, w bieżącym roku mieliśmy marzec mokry a maj przeważnie suchy.

Z początku było dżdżysto i chłodno. Tylko dnia 3 wypogodziło się na krótko, lecz następstwa tego

poprawienia pogody były złowrogie, gdyż nocą wystąpił ostry przymrozek, który miejscami wyrządził dotkliwe szkody w ogrodowiznach. Od 12 maja zapanała bardzo sucha, słoneczna, pod koniec miesiąca upalna pogoda, przerwana 28 maja burzą, która rozlała po całym kraju gorąco upragnione ulewne deszcze.

Temperatury średnie miesięczne naogół były w zachodnich częściach kraju bliskie normy, lecz we wschodnich a zwłaszcza w Lubelskiem były za niskie (blisko o 1°).

Zachmurzenie było też rozmaite w różnych częściach kraju: np. w Warszawie słońce świeciło tylko 216 godzin, gdy zwykle na maj przypada tu 241 godzin.

Bardziej zaś na zachód było pogodniej.

Deszcze były wszędzie za rzadkie i przeważnie skąpe. Szczególnie sucho było w środkowej części kraju. Lecz wogóle ilość spadłej wody rozłożyła się nader nierównomiernie i w niektórych okolicach, jak w Krakowskiem i w Suwalskiem, deszcze były nadmiernie obfite. Nierównomierność tę spowodowały burze w początku i w końcu miesiąca, podczas których miejscami spadły wielkie ulewy. Przeciętnie spadło w Królestwie 41 mm. wody w 10 dniach, gdy ilość średnia z wielu lat wynosi 50 mm. w 12 dniach.

Na Litwie i Rusi deszcze były cokolwiek za obfite, choć niezbyt częste. Temperatura wypadła nieco niższa od normy.

W początku miesiąca kilka niżerek przeszło przez Skandynawię na wschód, sprowadzając nam częste zmiany pogody. Od 12 maja znajdowaliśmy się w dziedzinie antycyklonu. 28 maja w Królestwie uformowała się płytka rozległa depresja.

Niżej są zamieszczone niektóre dane ze stacji P. T. Kr.

a) Temperatura:

Jędrzejów: Temp. średnia mies. 12°9 Temp. maks. + 26°4 dnia 27-go. Temp. minim. — 2°1 dnia 3-go.

Dąbrowa Górnicza: Temp. śr. mies. 13°6. Temp. maks. + 26°7 dnia 27-go. Temp. minim. — 2°5 dnia 3-go.

b) Opady:

|                  | Wysokość w mm. | Liczba dni |
|------------------|----------------|------------|
| Ostrołęka        | 38             | 9          |
| Chodecz Kujawski | 27             | 5          |

|                            |    |    |
|----------------------------|----|----|
| Suchedniów (p. kielecki)   | 44 | 12 |
| Jędrzejów                  | 36 | 12 |
| Miechów                    | 34 | 16 |
| Włoszczowa                 | 82 | 12 |
| Olkusz                     | 32 | 15 |
| Dąbrowa Górnicza           | 28 | 15 |
| Wysokie (p. krasnostawski) | 95 | 12 |

c) Trwanie usłonecznienia: Jędrzejów 256 godz.

skiego, porównując ją z terenem i podziwiali nadzwyczaj sumienne, detaliczne i pracowite jej wykonanie, wyciągając stąd wnioski pożyteczne dla swych prac kartograficznych.

Był to wypadek bądź co bądź niepospolity, że tylu naraz Polaków zebrało się na wspólną wyprawę naukową.

oooooooooooo

oooooooooooo

## Kronika krajoznawcza.

+ W Lozannie przebywa kilku Polaków, którzy przybyli tam, aby poznać szwajcarską wzorową kartografię i pod kierunkiem głośniego geologa Lugeona na niezmiernie skomplikowanych Alpach, nauczyć się rozstrzygać kwestye geologicznej budowy kraju.

W dniach 21 — 25 maja odbyła się wycieczka młodych geologów do Siementthalu i Diemtighalu. Z liczby 10 uczestników sześciu było Polaków, a mianowicie F. Rabowski, L. Horwitz, S. Krajewski, K. Świdorski, H. Baczyńska i St. Lencewicz, a oprócz tego jeden Francuz, Niemiec, Holender i Rosyanin. Na trzeci dzień zostali tylko sami Polacy, program bowiem zakreślono tylko na dwa dni. Wycieczkę prowadził F. Rabowski, autor mapy zwiędzanego terytorium, nad którą pracował sześć lat. Obejrzano płaszczowinę Prealp środkowych, brekcyi i retycką (ostatnią odkrył tu F. Rabowski), stanowiące przedmurze Alp i nasunięte tu z południowego-wschodu. Uczestnicy, pracujący nad mapami w innych terenach pilnie studyowali mapę Rabow-

## Odpowiedź Redakcyi.

*Panu Zaleskiemu w Stąporkowie.* Pracę Pańską chętnie umieścimy w „Ziemi”. Szczegóły listownie.

oooooooooooo



MEBLE W RÓŻNYCH STYLACH SOLIDNEJ  
ROBOTY

POLECA

**P. GRODECKI**

ulica Marszałkowska 68, telefonu № 112-94,  
od 8 maja na Żórawiej 33.

Pp. Członkom Tow. Krajoznawczego ustępstwo.



## Od Administracyi.

Prosimy sz. prenumeratorów o odnowienie przedpłaty na kwartał III.

**TREŚĆ:** *S. Matusiak* — Koń w naszych wierzeniach ludowych (c. d.). *W. Piotrowski* — Noc letnia w wierzeniach ludu ukraińskiego. *Nora Walicka* — Połoga (c. d.) (z 3 ryc.). *Ks. Augustyn Boracsek* — Wschodni kąt powiatu cieszanowskiego. *Al. Janowski* — Imigracja polska w Stanach Zjednoczonych (c. d.). Z naszej turystyki. *Tadeusz Radliński* — „Gdzie wschód się kończy...” — Z Pol. Tow. Krajoznawczego — Kronika krajoznawcza. — Poza tekstem: Szczegół zagrody (dziś nieistniejącej) Hrycia Huka w Ilce Żabiowskiej, pow. kosowski. — Wkładka: Wąwóz lessowy w Wojnowicach, pow. opatowski.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć.



Ambona w Olkuszu.

ze zbior. Pol. Tow. Kraj.